



Glen Hansard

Rhythm and Repose

Plateau Records 2012

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●●○

Obserwatorom życia muzycznego na świecie z pewnością nie umknął oscarowy sukces piosenki „Falling Slowly” (2007) przed pięcioma laty. Pochodziła ona z filmu „Once”, a jej autorami i wykonawcami byli Marketa Irglova i Glen Hansard.

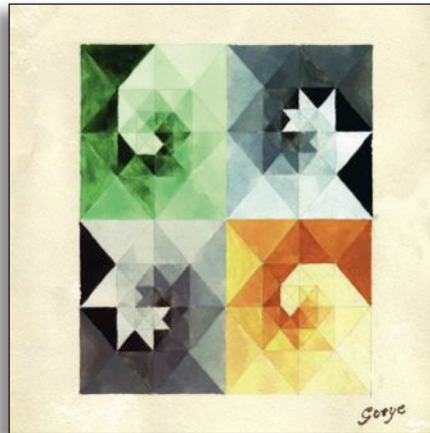
Instrumentalno-wokalny duet zagrał też w obrazie główne role. Ponieważ i film, i ścieżka dźwiękowa zdobyły ogromną popularność, Irglova i Hansard zarejestrowali kolejny wspólny album „Strict Joy” (2009). Potem każde zaczęło działać na własną rękę.

Niedawno do sklepów trafiła solowa płyta Irglovej, a teraz Glen Hansard pokazuje, na co go stać bez sympatycznej wokalistki. No, może nie całkowicie, bo zaprosił ją do utworu „What Are We Gonna Do”.

„Rhythm and Repose” przynosi styl podobny do tego, który duet prezentował w swoich wspólnych nagraniach. I w sumie dobrze, bo tej muzyki miło się słuchało. Balladowy rock z domieszką amerykańskiego folku to chyba najlepsza charakterystyka. Bohater płyty gra głównie na gitarze, chociaż raz – w „The Storm, It’s Coming” – zasiadł przy pianinie. Śpiewa też bez niespodzianek, tak jak to robił do tej pory. Raz wyjątkowo delikatnie i melodyjnie („Love Don’t Leave Me Waiting”), kiedy indziej spokojnie, prawie jakby melorecytował, aby nagle wydać agresywny krzyk („The Storm, It’s Coming”).

Stylowo i z wyczuciem. ■

Grzegorz Walenda



Gotye

Making Mirrors

Universal 2012

Muzyka: ●●●●●

Realizacja: ●●●○○

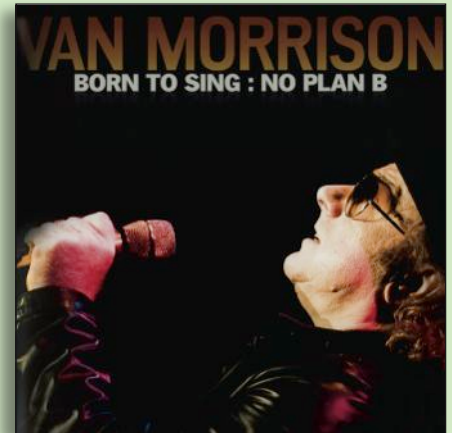
Gotye, za sprawą utworu „Somebody That I Used to Know”, stał się najpierw gwiazdą serwisu YouTube, a następnie komercyjnych rozgłośni radiowych. Dziś powszechnie nie szczędzi się mu wyrazów uznania ani nobilitujących porównań do Stinga czy Petera Gabriela. Nie chodzi tylko o podobieństwo wokalne. Twórczość belgijsko-australijskiego muzyka to też podobnej klasy robotą, o czym łatwo się przekonać, słuchając „Making Mirrors”.

Tak jak wyżej wymienieni, Gotye inteligentnie łączy stylistykę pop z dozą sztuczności. Jest pomysłowy, szczery i nie boi się eksperymentować z mieszaniem gatunków, przez co trudno go sklasyfikować.

Jeśli jego trzeciej płycie można coś zarzucić, to tylko to, że niektóre ze znajdujących się na niej utworów przywołują wyraźne skojarzenia. Np. fragment „In Your Lights” przypomina „Faith” George’a Michaela, a riff z „Easy Way Out” nie tylko brzmieniem nawiązuje do „Satisfaction” Stonesów. Oddajmy jednak Gotyemu sprawiedliwość: jeśli od kogoś czerpie, to od najlepszych! Dlatego nawet wtórnych fragmentów jego krążka słucha się z przyjemnością.

Trzymajmy kciuki, by śladem zjawiskowego „Somebody That I Used to Know” więcej piosenek z „Making Mirrors” trafiło na listy przebojów. Może wówczas będzie można włączyć komercyjne radio na dłużej niż kilka sekund. ■

Bartosz Szurik



Van Morrison

Born to Sing: No Plan B

Blue Note 2012

Muzyka: ●●●●●

Realizacja: ●●●●○

Cztery lata – tak długo czekali wielbiciele Vana Morrisona na jego kolejny studyjny album. Nie powinni jednak marudzić. Najnowsze dzieło muzyka z Północnej Irlandii przynosi godzinę stylowej mieszanki jazzu, bluesa i R&B.

Od rozpoczynającej płytę „Open the Door (To Your Heart)” uderza ciepłe brzmienie siedmioosobowego zespołu Morrisona. Składająca się z saksofonów, trąbki i klarnetu sekcja dęta oraz organy Hammonda nadają jego muzyce pogodny charakter. W dodatku forma płyty zarejestrowanej „na żywo w studiu” zapewnia instrumentalistom wiele swobody. Przekłada się to na lekką atmosferę nagrania. Nawet jeśli wymierzone w konsumpcjonizm teksty trudno nazwać optymistycznymi, to przez pierwszych 40 minut „Born to Sing: No Plan B” dominują miłe dla ucha aranżacje i przyjemna jazzowa melodyka.

Najlepsze dzieje się jednak pod koniec albumu, gdy muzyka zmienia się z lekkiego jazzu w ponury blues. Fenomenalne, ośmiominutowe „If In Money We Trust” to naprawdę poruszający kawałek muzyki. A zimnej gitary Dave’a Kearyego z piosenki „Pagan Heart” nie powstydziliby się John Lee Hooker.

Słuchając „Born to Sing: No Plan B”, można wyciągnąć tylko jeden wniosek. Po 33 (sic!) studyjnych albumach Morrison nagrał kolejną wielką płytę.

Mając tyle klasy, doprawdy, nie musi nikogo przekonywać, że urodził się, by śpiewać. ■

Bartosz Szurik



Donald Fagen
Sunken Condos

Reprise Records 2012

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●●

Fagen to muzyk, który nie potrafi niczego zepsuć. I choć nadal uważam, że „Kamakiriad” (1993) to jego najlepsze solowe dzieło (polecam utwór „On the Dunes”), to zarówno wcześniej, jak i później Amerykanin nie stworzył nic słabego. Jego płyty, zarówno te zarejestrowane w duecie z Walterem Beckerem pod firmą Steely Dan, jak i solowe, zawsze cieszą pomyslową konwencją, bogactwem wpadających w ucho melodii oraz mistrzowskimi umiejętnościami instrumentalnymi. Nagrania Fagena nie odznaczają się spektakularnymi solówkami, ale mamy w nich idealny akompaniament do fenomenalnego wokalu. Weźmy np. utwór „Slinky Thing”, który otwiera „Sunken Condos”. Doskonały rytm, podbity głębokim, pulsującym basem i idealnie wpasowany akompaniament gitarowy. Na takim podkładzie nawet głuchy pociągnąłby melodię. Tymczasem Fagen to wokalista, jakich mało, więc w momencie pojawienia się jego głosu nagranie jeszcze bardziej kołysze.

Drugi utwór jest prawie żywcem wzięty z repertuaru Steely Dan. Znany wstęp na dęciakach, potem gitara i perkusja. Aż się chce włączyć którąś z ich starych płyt. Ale tu wcale nie jest gorzej.

Trzecia piosenka – „Memorabilia” – także trzyma się znanej konwencji. Aż dziwne, że nie słyszymy tu Beckera. Na swoich solowych albumach on i Fagen zwykle sobie pomagali. Tym razem jednak Donald kolegi do współpracy nie zaprosił. Szkoda, ale duch Steely Dana i tak jest obecny. ■

Grzegorz Walenda



ZZ Top
La Futura

Universal Republic Records 2012

Dystrybucja: Universal Music

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●○

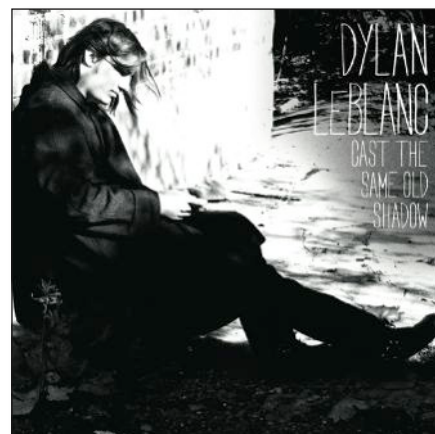
Po wysłuchaniu tej płyty żałuję, że do tej pory tylko pobieżnie śledziłem karierę ZZ Top. Już pierwsze nagranie amerykańskiego tria wbiło mnie w fotel. Rockowa energia pierwsza klasa! Ale nie tylko ona przesądziła o atrakcyjności albumu. Mamy tu jeszcze fenomenalną gitarę, nisko schodzący bas i trzymające wszystko w ryzach rewelacyjne bębny. Muzyka idealna do szybkiej jazdy samochodem. Do tego zdarty, ale i energetyczny głos i... nic tylko gaz do dechy.

Kiedyś uważałem „Peel Out” Meat Loafa za najlepszy hit na szybkie autostrady, ale po wysłuchaniu dwóch pierwszych kawałków z „La Futura” mam problem z wytypowaniem faworyta.

Ale bez obaw. Nie wszystko mknie tu z prędkością sportowego bolidu. Od nagrania „Over You” pojawia się kilka spokojniejszych bluesów. Oczywiście zagranych z ikrą, ale mimo wszystko płynących dość melodyjnie. Zasnąć przy nich byłoby trudno, dlatego do samochodu też się nadają. Zwłaszcza że nie brakuje między nimi rockowej gitary.

Muzycy ZZ Top podrasują każdy silnik. Szerokiej drogi! ■

Grzegorz Walenda



Dylan LeBlanc
Cast the Same Old Shadow

Rough Trade Records 2012

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

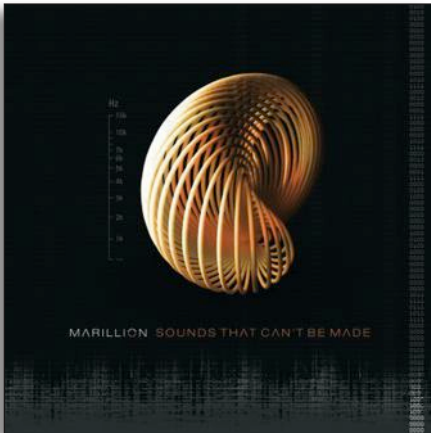
Podobno seplenienie stoi w sprzeczności z karierą piosenkarską. Tymczasem autor omawianej płyty ma, zdaje się, tę wadę wymowy, a mimo to popisuje się talentem wokalnym.

To już drugi album w karierze 24-letniego Amerykanina. Mamy na nim sporo brzmień folkowych, zapewne dlatego, że LeBlanc pochodzi z Luizjany, gdzie słucha się takich piosenek. Warto przypomnieć, że na jego debiutanckim albumie („Paupers Field” z 2010 roku) towarzyszyła mu Emmylou Harris. Po współpracy z tak renomowaną gwiazdą byłoby dziwne, gdyby LeBlanc nie czerpał garściami z jej stylu. Ale sam również ma sporo pomysłów; zwłaszcza jeśli chodzi o charakterystyczne aranżacje.

Od pierwszych taktów wybranego przewrotnie na początek nagrania „Part One-The End” słyszymy finezyjny, rozbudowany akompaniament. Mimo że skład instrumentalny jest skromny, wydaje się, że gra orkiestra. Królują hawajskie gitary, które na tle melotronu tworzą melodyjne brzmienia, mogące towarzyszyć porannemu spacerowi nad brzegiem jeziora. W taką oprawę doskonale wpisuje się akustyczna gitara, na której gra bohater płyty. Szczególnie ładnie brzmi ona w nagraniu „The Ties That Bind”, nie mającym nic wspólnego z kompozycją Bruce’a Springsteena pod tym samym tytułem.

Ot, po prostu LeBlanc – słowa, muzyka, głos, gitara... ■

Grzegorz Walenda



Marillion Sounds That Can't Be Made

Ear Music 2012

Muzyka: ●●●○○

Realizacja: ●●●●○

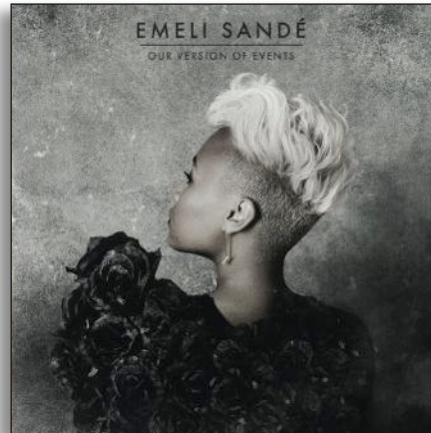
Tak jak kilka wcześniejszych płyt Marillion, tak i najnowsza została sfinansowana przez część fanów, którzy kupili ją w trybie pre-order. Osobiście nie byłbym zbyt zadowolony z tego zakupu...

Dlaczego – najłatwiej wytłumaczyć na podstawie 14-minutowej kompozycji „Montréal”. Tak jak w pozostałych utworach z płyty, nie brak w niej ciekawych fragmentów, ale giną one wśród innych, wyraźnie niepotrzebnych lub przedłużonych na siłę. Poszczególne partie nie zawsze zaś logicznie się łączą. Z pewnością całą piosenkę można by ociosać i zostawić w kilkuminutowej wersji, ale muzycy z Marillion postanowili zrobić z niej suitę, jak przystało na rocka progresywnego. Ale czy to na pewno dobre rozumienie tego terminu?

Rock progresywny powinien oznaczać muzykę ewoluującą, szukającą nowych rozwiązań i pomysłów. Tymczasem jedyną nowością na „Sounds That Can't Be Made” to ciężko brzmiące partie gitar i przesterowany wokal w otwierającym krążek utworze „Gaza”. Tego rzeczywiście wcześniej nie było w twórczości Brytyjczyków. Resztę patentów stosują już przynajmniej od czasu „Marbles”.

Wszystko to nie oznacza, że „Sounds That Can't Be Made” jest zupełnie do kitu. Z 75-minutowego materiału można wyłowić wiele udanych fragmentów, ale to już zadanie dla najwierniejszych fanów grupy. ■

Bartosz Szurik



Emeli Sandé Our Version of Events

Virgin 2012

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●●○

Debiutancki krążek wychowanej w Szkocji pół Angielki, pół Zambijki Emeli Sandé stał się w Wielkiej Brytanii sporym wydarzeniem. Trudno się dziwić. Duża różnorodność piosenek pozwala pokazać Emeli wszechstronność zarówno kompozytorską, jak i wokalną.

Wystarczy porównać ze sobą pierwszą i ostatnią piosenkę z „Our Version of Events”, by się przekonać, z jak szerokim spektrum muzyki popularnej mamy tu do czynienia. „Heaven” to elektroniczna kompozycja napędzana energicznym junglowym werblem i wypełniona kilkoma warstwami przestrzennego wokalu. Kończąca płytę „Read All About It, Pt. III” to ballada w stylu Adele, w której głosowi Sandé akompaniuje jedynie fortepian.

Między tymi dwoma punktami mieści się jeszcze kilka stylistyk i wzorcowo skrojonych popowych piosenek, przede wszystkim single: „Next to Me” z mocną rytmiką i wpadającym w ucho refrenem, przystrojony monumentalnym brzmieniem dzwonów i smyczków „Daddy” czy króciutki trip-hopowy „Where I Sleep”.

„Our Version of Events”, jako produkcja spod znaku kobiecego soulu i R&B, nie pozostawia wiele miejsca na zastrzeżenia. Jedynie w bardziej rozdmuchanych momentach może sprawiać wrażenie „przeprodukowanej”. Warto więc poczekać na zapowiadaną koncertówkę z Royal Albert Hall, by porównać, jak piosenki Sandé zabrzmiały w surowszej wersji. ■

Bartosz Szurik



T. Love Old Is Gold

EMI 2012

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●●○

„Do pracy nad »Old Is Gold« zainspirowali nas tacy twórcy jak: Bob Dylan, Johnny Cash, Muddy Waters, John Lee Hooker...” – lista wykonawców wymienionych we wkładce ostatniej płyty T. Love ciągnie się jeszcze przez dwie linijki. Ale już tych kilka nazwisk wystarczy, by zrozumieć, o jaki efekt chodziło ekipie Muńka Staszczyka. Zaś kilka pierwszych taktów piosenki otwierającej dwupłyty album pokazuje, że zamiar udało się zrealizować wyśmienicie!

„Old Is Gold” to nie tania próba skokietowania słuchacza nutką retro, dodaną do zestawu piosenek. To pełnokrwisty, rockowy album, nagrany przez – było nie było – lekko leciwych rockmanów, nad wyraz świadomych gatunku, w którym tworzą oraz korzeni, z których on wyrasta.

Panowie z T. Love nie tylko potrafią przywołać stylistykę starych bluesowych i rock'n'rollowych brzmień, ale sprawnie się w niej poruszają. Gitary, klawisze, dęciaki, harmonijka, perkusja, wokal Staszczyka oraz surowe analogowe brzmienie całości – to wszystko rzeczywiście wysłała w podróż do czasów, kiedy muzyka rockowa była młoda.

Jedynie słuchacze mający problem za słowiańskim akcentem w anglojęzycznych piosenkach powinni być ostrzeżeni. Kilka utworów pokazuje, że lepiej by było, gdyby Muniek ograniczył się do mowy rodzimej. Nie zmienia to faktu, że anglojęzyczny tytuł płyty jest adekwatny do jej zawartości! ■

Bartosz Szurik